GŁOS WOLNY.

GŁOS WOLNY wychodzi trzy razy na miesiąc; 10go, 20go i 30go każdego miesiąca. Cena prenumeraty trzymiesięcznéj wynosi szyl. 3 i d. 6, czyli fr. 4 cent. 50, czyli złp. 7. Cena pojedynczego numeru w biórze redakcyi d. 4.

N 242 i 243.

Dnia 15go Kwietnia 1870.

Prenumerować można: w Redakcyi, u Ant. Żabickiego, 18, Claremont Place. Judd Street, W. C. London; u kasyera Komisyi Opiekuńczéj, Ludwika Dygata, à la Comptabilité du chemin de fer du Nord, à Paris; i w księgarni K. Królikowskiego 20, rue de Seine, à Paris.

ODCZYTY POLSKIE W PARYŻU.

Na wzór tego co się po innych krajach dzieje, ruch umysłowy objawia się od pewnego czasu między Polakami w odczytach publicznych. Lwów, Kraków, Poznań, Drezno, Paryż żywią się duchowo odczytami, w których liczna publiczność polska obojga płci udział bierze. Wartość tych odczytów jest jeszcze zagadkową tak pod względem wykładanych przedmiotów jako też pod względem oddania ich w właściwéj formie. Rzadko bardzo odpowiadają głównym potrzebom sprawy narodowéj i warunkom literackim. Wszakże zajęcie i ciekawość, jakie wzbudzają, są dowodem szlachetnych pragnień publiczności naszéj a powinny być zachętą dla tych, którzy się na stanowisku nauczycieli ogółu stawiają.

W Paryżu obok czwartkowych odczytów urządzonych w sali du Grand Orient, na ulicy Cadet, przez Komitet Naukowéj Pomocy, mamy jeszcze od kilku miesięcy w mniejszym nierównie zakresie, ale także publiczne wykłady środowe w czytelni. przez Komitet Zjednoczenia najprzód na ulicy Gay Lussac a teraz na ulicy Ancienne Comedie, 24, otwartéj a przez dobrowolne składki uczęszczających do niéj utrzymywanéj. Różnica pomiędzy pierwszemi a drugiemi jest ta, że kiedy w sali du Grand Orient słyszeć można wykłady nauczycielskie ex cathedra, to w Czytelni Polskiéj każden wykład podlega natychmiastowéj krytyce słuchających i ztąd wywiązują się bardzo zajmujące rozprawy. Tam przedmioty odczytów bez żadnego związku między sobą, utrzymują się w sferach ogólnikowych, unikają wszelkich kwestyj na porządku dziennym stojących; tu zaś polityka narodowa, przegląd żywotnych zadań patryotyzmu polskiego główną grają rolę. Nie ma żadnego współzawodnictwa między odczytami Komitetu Naukowéj Pomocy a temi, które w Czytelni Polskiéj słyszeć można; jedne i drugie mają własną, odrębną cechę. Dowcipy więc *Niepodległości* o atmosferze części łacińskiéj (quartier latin) i kontra-Cadet'owskich odczytach są bardzo niewłaściwe i niezrozumiałe.

Nie znamy wszystkich rozpraw odbytych w Czytelni Polskiéj. Wiemy tylko że członek Komitetu Zjednoczenia ob. Tokarzewicz już na kilku posiedzeniach mówił obszernie o socyalistach polskich, do których siebie gwałtem zalicza, chociaż nie wiemy jakiego jest rodzaju i gatunku. Zapewne swojego własnego, tylko jeszcze nie odgadnionego, jeszcze *in spe*, jak powiada Trentowski, zostającego. Dotychczasowy socyalizm ob. Tokarzewicza nie bardzo szczęśliwie objawia się światu polskiemu, gdyż zaczyna od nienawiści jak nihilizm moskiewski i na nienawiści stawiać chce swój nieznany budynek. Pierwszy numer *Gminy* redagowanéj ongi przez ob. Tokarzewicza i odczyt "O prawach siły w obecném położeniu Polski" jakiegoś B. Niebiasty, za którego jednak *myśli* i *wyrazy* ob. Tokarzewicz bierze na siebie odpowiedzialność (zobacz ten odczyt w *Niepodległości* z 22 stycznia, Nr. 133—36), są to nie bardzo zalecające listy wierzytelne dla przyszłego Fouriera, Cabeta lub Prudhona polskiego i bardzo wątpimy ażeby oprócz przyjaciela swego, pana B. Niebiasty, ob. Tokarzewicz przekonał którego z rozważnych Polaków o potrzebie szkoły socyalnéj w Polsce. Bliższe ocenienie tego przedmiotu odkładamy do następnego numeru.

Ob. Wernicki mówił o rewolucyonizmie moskiewskim i przyczynach objawu nihilizmu. Rewolucyoniści moskiewscy, według ob. Wernickiego, od czasów jeszcze wojny chocimskiéj okazują pewne sprzyjanie sprawie polskiéj i jawnie to wypowiadają. Dziś będąc przemocą związani z Moskwą, musimy mimowolnie znosić ciężar téj przemocy, a więc żywioły moskiewskie nam przyjazne musimy znać, ażeby w danéj chwili umieć z nich korzystać. Nie łudząc się pomocami materyalnemi Moskali lub innych studya nad życiem obcych narodów mających z nami styczność, mają i tę wagę, że wykazują błędy i ich przyczyny bardziéj niż studya nad własnym narodem, jeżeli te przez szkiełka kastowe lub mgły zarozumiałości się odbywają. Wychodząc z tego założenia, ob. Wernicki postanowił określić cechy wybitne rewolucyonistów moskiewskich i rozebrać psychologicznie i historycznie powstawanie każdéj z tych cech. Badanie takie uważa on za tém ważniejsze, że w historycznym rozwoju wiele na pozór dzikich i odrażających cech zjawia się jako konieczny wypadek, logiczne następstwo przeszłości, i wtedy wobec innych stronnictw odgrywa całkiem inną rolę niż w innych krajach odgrywa stronnictwo téjże saméj zasady. Zatém jeżeli rewolucyonizm moskiewski różni się od polskiego, to jeszcze nie powód do wynoszenia jednego a potępiania drugiego. Widocznie że przy téj metodzie badań, chronologicznego przytaczania być nie mogło. Każda cecha, jak krwiożerczość, nienawiść religii i caratu, posunięta do najwyższéj namiętności, samozwaństwo i pseudo-carowie, zaprzeczanie własności, rodziny itd., wyrabiała się oddzielnie, pod wpływem szeregu innych wypadków i innych okoliczności. Trzeba było wykazać wydatne zapatrywanie się na każdy przedmiot. Dla tego to zamiast historycznego, stopniowego rozwoju, prelegent wybrał studyum psychologiczne, a historyą uważał za dodatek i objaśnienie. Najgłówniejszą część odczytu zajęły wyjątki z różnych nader licznych odezw, wierszy, pieśni ludowych i zabronionych, a niewiadomo zkąd pochodzących.

Odczyt ten obfity, jak wszystko co ob. Wernicki pisze, w daty i fakta, wywołał żywe spory odnoszące się nie do samej jego treści, ale do stósunków dwóch narodów: moskiewskiego i polskiego, jak równie do walki o wolność. Naturalna rzecz, że dążąc do zwalczenia despotyzmu, nie należy pomijać sprzymierzeńca dążącego do tegoż samego celu. Ale z drugiéj strony niepodobna także w dążeniach tych do wspólnego celu zaprzeć się swéj indywidualności, swego wiekami wyrobionego charakteru i pójść pod obce rozkazy. Despotyzm moskiewski, carski lub socyalistowski, zarówno nam nienawistny. Jednak w peryodzie walki naszéj o niepodległość tak prawy rewolucyonista jak zbiegły z pod knuta i katorgi rozbójnik, niszczący władzę caratu i moskiewskich rządów, nie ulegają naszéj kontroli za przeszłość do nas nie należącą. Stósunek przedpowstańczych robót obydwóch narodów dałoby się więc określić w ten sposób: *Każdy u siebie, na swoim gruncie powinien rozwijać swoją sprawę i nad nią pracować usilnie; każdy też powinien badać i znać nie przez okulary nienawiści, ale przez ścisłe i naukowe zgłębienie rewolucyonizmu narodowego, z którym obok iść musi do zwalczenia caratu.* Innego działania wspólnego nie przyjmowano, działanie bowiem Polaków w sprawie Moskali upoważniałoby ich do gospodarowania u nas i nie wpoiłoby w nich tego fundamentalnego pojęcia, jakie się gdzieindziéj wyrobiło, niewdawania się w wewnętrzne sprawy narodów niezależnych i nie chcących by im dyktowano prawa. Moskale wiekowém rozwijaniem zaborczości tak mało posiadają poczucia szacunku dla praw cudzych, że zaledwie w ostatnich czasach rewolucyoniści moskiewscy przyszli do przekonania (sic), że myśmy powinni piérwéj rozkuć się ze wspólnych kajdan, a potém

dopiero łączyć się ile razy będzie tego potrzeba. Mimo to większość rewolucyonistów moskiewskich ciągle marzy o związkach słowiańskich i zaprzecza tym sposobem zasadzie, jaką względem nas przyjęła. Zresztą polityka niewdawania się w wewnętrzne sprawy innych narodów nie wyklucza bynajmniéj wzajemnéj pomocy i porozumienia się w stanowczych chwilach, a jeżeli moskiewscy rewolucyoniści pomagali naszym rodakom uciekającym z Sybiru i katorgi, nam również nie należy im odmawiać pomocy w dopięciu lub ułatwieniu celów wspólną korzyść przynoszących. Oto mniéj więcéj treść rozpraw nad odczytem ob. Wernickiego. Dostało się przytém i *Głosowi Wolnemu*, który podobno zaliczył Milutyna, Zielonowa, Tołstoja i trzecie oddzielenie policyi do liczby *nihilistów*. Przyznajemy się do winy. Nigdybyśmy się nie poważyli kłaść na jednéj szali ludzi nienawidzących despotyzm moskiewski z nędznymi poplecznikami caratu, ale rewolucyonizm moskiewski wyrażony przez doktryny i praktyki nihilistów tak się nam zdaje zpokrewnionym z polityką zniszczenia, które społeczeństwo nasze dusi, że nam trudno nie raz rozróżnić jednych od drugich. Do prawych rewolucyonistów moskiewskich należy wyprowadzić nas z błędu—tylko nie słowami ale czynami.

O innych odczytach Czytelni Polskiéj nie mamy dokładnego sprawozdania i dla tego tyle tylko o nich powiemy, że jeżeli nic nowego nie zawierały, to żywotnością podnoszonych kwestyj i gorącem pragnieniem poznawania przeszłości w tém wszystkiém co teraźniejszość i przyszłość najwięcéj obchodzić może, odróżniają się stanowczo od bezbarwnych i czułostkowych ogólników, któremi się Komitet Naukowéj Pomocy zachwyca.

Wyłączamy z tego rzędu dwa równie ważne chociaż różnéj wartości odczyty miane w sali Wolnych Mularzy przy ulicy Cadet. Pierwszy Mikołaja Akielewicza, o Ludzie Litewskim; drugi Aleksandra Frankowskiego o Ludzie Ruskim. Wszystkie bowiem prace, wszystkie badania, odnoszące się do ludu wiejskiego rzeczypospolitéj polskiéj, mają w oczach naszych pierwszeństwo przed każdą najcenniejszą nawet rozprawą naukową czy literacką; lud wiejski jest najpotężniejszą siłą zachowawczą naszéj narodowości, w nim spoczywa przyszłość nasza. Lud litewski tak silnie się zrósł z duchem Polski, tak głęboko zakorzenił konary swego wszechjestestwa w sercach lechickich, że ślub zawarty w mgle wieków jaśnieje we wszystkich chwilach świetności i niedoli, wiernem poświęceniem wspólnéj ojczyzny; Litwa i Korona to jedno ciało i jedna dusza, najmniejszéj też nie ma różnicy ani nad Niemnem ani nad Wisłą tak w nienawiści wspólnego jarzma jak i w pojmowaniu narodowéj solidarności; a los teraźniejszéj i przyszłéj Litwy zawisł od tych samych warunków, które mieszkańców Korony pobudzają do nieustannéj walki o wolność i niepodległość. Ob. Akielewicz mówiąc o ludzie litewskim nie potrzebował więc udawać się do żadnych szczególnych argumentów po pomoc, ażeby wykazać nierozerwalność węzła Jagielońskiego, a zatém nierozdzielność praw i obowiązków ciężących na synach jednéj rzeczypospolitéj. Jego wykład z natury swojéj musiał być obrazowy tylko i obyczajowy, musiał badać wieśniaka litewskiego w tém co mu jest właściwego na tle dziejowém i społeczném, z poświęceniem wszelkich kwestyj narodowo-politycznych, które nic miejscowego, nic litewskiego nie przedstawiają, a wszystko ogólne, polskie. Ob. Akielewicz jako urodzony w chacie wieśniaczéj, z ojca i dziada którzy od pługa szli bronić ojczyzny Polski, zna wybornie lud litewski, jest jego pisarzem i wysłannikiem do braci na wygnaniu, ażeby i tu miał bezpośredniego wyobraziciela swych cierpień i nadziej. Odczyt też ob. Akielewicza był, można powiedzieć, prostém a szczeném opowiadaniem chłopa litewskiego, a to nie zważa ani na na prawidła profesorskiéj wymowy ani na wrażliwość słuchaczów i słuchaczek, ale prawi swoje według natchnienia prawdy.

Wykład ob. Frankowskiego był zupełnie różny, chociaż nie powiemy ażeby był lepszy. Ob. Akielewicz wyczerpnął przedmiot, odpowiedział zadaniu. Ob. Frankowski tylko w ogólnych, acz wymownych słowach, wypowiedział usposobienie ludu ruskiego i stósunek Rusi do Polski. Kwestya ta poruszana tylokrotnie, przez tych właśnie którzy ją skrzywić usiłują, ażeby Ruś od Polski oderwać, wymagała wszakże głębszego rozbioru: należało wykazać pod względem etnograficznym, historycznym, politycznym, społecznym i pod każdym innym, że Ruś i Polska to jednostka dopełniająca się wzajemnie, w rozdarciu niemożliwa, w połączeniu świetna moralnie i materyalnie. Należało szczególnie udowodnić czynami dziejowemi, że wszelkie spory aż do ostatnich czasów pomiędzy Rusią a Koroną były zawsze nie politycznéj a tém mniéj narodowéj natury, ale czysto społeczeńskiéj; ani język, ani religia, ani obyczaje Rusinów nie były nigdy przez Polaków prześladowane; ale szlachcic polski gniótł całym ciężarem dumy swojéj chłopa ruskiego nad Dnieprem tak jak chłopa krakowskiego nad Wisłą a litewskiego nad Niemnem. Należało w imieniu wolności, równości i braterstwa, do których Polska toruje sobie drogę krwią bohaterów i męczenników swoich, apelować od samozwańczego wyroku Świętojurców, czyli popleczników moskiewskich, do ludu ruskiego wyzwolonego z pod przemocy petersburgskich i domowych carów. Ob. Frankowski, jeżeli zbyt ogólnikowo przedstawił swój przedmiot i żadnego nowego światła nie rzucił na tak nazwaną kwestyą ruską, to w zakończeniu swego odczytu wypowiedział prawdy, które każdy sumienny obywatel Polski jako wyraz własnego przekonania przyjąć musi. Oto są jego słowa:

Dziś lud ruski wolnym jest osobiście (w znaczeniu moskiewskiém tego wyrazu.—Przyp. Red.). Jakież tedy zajmie stanowisko odpowiednie do narodowości swojéj? Czy w związku z Polską szukać będzie jéj zachowania? Czy się da Moskwie pochłonąć lub też zamarzy o odrębnym bycie? Na te pytania może stanowczo odpowiedzieć jedynie sam naród ruski. Odpowiedź jego wszakże wówczas tylko będzie dla nas wyrokiem w téj bratniéj sprawie, kiedy ją da, jako wolny wolnym. Póki Litwa, Polska i Ruś (my byśmy powiedzieli Litwa, Korona i Ruś.—Przyp. Red.) pod jarzmem niewoli zostają, wszystkie siły narodu rzeczypospolitéj, wszystkie jego dążenia skierowane być winny ku temu, aby odzyskać straconą niepodległość. Dla tego nie zwracajmy uwagi na krzyki, jakie się podnoszą w tak nazwanéj sprawie ruskiéj. Dla nas jéj nie ma. Wymyślili ją Niemcy w Austryi, aby nas poswarzyć i wzajemnie rozjątrzyć, a tym sposobem łatwiéj i zyskowniéj dla siebie gnębić. Moskwa idzie w ślady Niemców i z mongolską rzetelnością plugawi przeszłość Polski, wykrzywia wypadki dziejowe, aby nas od braci Rusinów oddalić. Biada im, jeżeli pójdą za tym głosem; przepadną na wieki w opiekuńczym uścisku Moskwy. Co do nas, nie ustawajmy w pracy na chwilę, mając do spełnienia wielkie dzieło odbudowania rzeczypospolitéj, poświęćmy mu wszystkie działanie nasze, poświęćmy mu życie nasze w potrzebie, a nadewszystko złóżmy na ołtarzu ojczyzny to czego nam się pozbyć najtrudniéj—nasze przesądy, naszą prywatę! One sprawiły jéj upadek, one nas od ludu w którym spoczywa jéj zbawienie, oddalają. Zapomnijmy o szlacheckiéj przeszłości bo do téj Polska już nigdy nie wróci; przestańmy rachować na pomoc obcą, ta nam bowiem z nikąd nie nadejdzie; ale zwróćmy się do ludu całéj Polski, dajmy mu szczere braterstwo nasze, a on zapomni wszystkie cokolwiek doświadczył, i z całą wiarą stanie wraz z nami do walki za niepodległość drogiéj ojczyzny. Wówczas, przyszłość jest naszą. Prysną kajdany niewoli, skruszone ręką 20-milionowego olbrzyma, i na całéj przestrzeni rzeczypospolitéj podniesie się okrzyk wolności—wolności, która łącząc trzy bratnie narody Litwy, Polski i Rusi w jedną polityczną całość, Polskę do życia nowego powoła, aby się przez nią, w całéj Słowiańszczyźnie krzewiła.

CZWARTKI LITERACKO-POLSKIE W PARYŻU.

JEZUITA GRZEGORZ PIRAMOWICZ I JEGO CZASY.

(Odczyt ks. Romana Wilczyńskiego z 3 lutego 1870.)

Nie będę rozbierał kto, kiedy, jak i dla czego, to jest w jakim celu obmyślił, urządził i wprowadził w życie Czwartki literackie znane pod imieniem "Odczytów Polskich w Paryżu." Nie będę rozbierał dla tego, gdyż ojcem Komitetu Naukowéj Pomocy, co od czasu do czasu wydaje za świat nie zawsze donoszony płód w postaci odczytów polskich w Paryżu, był Krezus, ale Krezus samowolnie żebrzący w imieniu Polski, a trwoniący li tylko w imieniu wolnéj rozrzutności. Ruszyło sumienie Krezusa, zwołał naiwnych spowiedników, rozgrzeszyli go. Pokutnik, mając kartkę legityma cyjną poszedł w świat. A ojcowie spowiednicy skupili się pod godło "Komitetu Naukowéj Pomocy" i jednogłośnie obwołali, jak św. Ambrożego, ks. Wilczyńskiego sekretarzem tegoż komitetu, zwyczajnie za dane rozgrzeszenie Krezusowi Następnie zapłodnili się myślą odczytów, i w miarę odgrzebywania zapoznanych talentów uzewnętrzniają się na cześć Polski i pożytek uczącéj się młodzieży. Słowem, w pewne czwartki publiczność ściąga się, złazi, zbiera, schodzi się przy ulicy Cadet, 16, w sali Wolnych Mularzy, a pp. prelegenci, mówcy, deklamatorowie, czytelnicy, mniejsza o przydomek, epitet, nie, okojni Kochanką wygadania się wstępują na trybunę i jak kto może siłi się zgłodniałą rzeszę nakarmić, oświecić, rozerwać, ubawić, rozczarować—lub też znudzić, zniecierpliwić, zniechęcić. Krótko mówiąc, wszyscy razem i każdy z osobna stara się unieśmiertelnić swoje imię, czy to jak Herostrat, paląc świątynię Dyany, czy to jak Kolomb, odszukując przepomnianą część ziemi, czy to wreszcie jak Kartezyusz, wynajdując w dziedzinie myśli, ducha, nawet natchnienia ową alfę filozofii: *tabula rasa*. Dość wiedzieć i to, że jedni czytają i mówią, drudzy zaś słuchają i drzemią. Kto mówił przedtém, kto będzie potém, zamilczę. Na teraz powiem tylko to, że we czwartek, dnia 3 lutego, na mównicę wstąpił ks. Roman Wilczyński.

Sala Wolnych Mularzy, ksiądz na trybunie, publiczność najróżnorodniej-

szych prz…onań, treścią mowy jezuita, ściany sali napstrzone w jakieś dziwne, niepojęte, tajemnicze symbole, łamigłówkt, rebusy zrozumiałe li tylko dobrze już wtajemniczonym w zastęp przysięgłych, a apoteozą tego wszystkiego kolosalnych rozmiarów matka rodzaju ludzkiego... Ewa! Ewa rajska, naga, zalotna, i tuż, tuż nad mównicą. Wszystko to jeźli nie komiczne, to co najmniéj oryginalne. Ks. Wilczyński występuje solo, więc bohater wieczora.

W Paryżu zwykle każdego solistę opisują od alfy do omegi, na teraz ja się uchylę od przyjętych formuł i o naszym soliście li tylko napomknę mimochodem. Wiadomo że na wychodźtwie księża polscy należą: jedni do kółka księży postępowych; drudzy do jezuitów-wskrzesieńców; inni chodzą luźnie; inni wreszcie są to mytologiczne Minotaury, Sfinxy. Hermofrodyty, są to ni mniéj ni więcéj nasze dzisiejsze zwierzokrzewy wegetujące w stanie przejściowym, są to istoty nieustannego stawania się, co to z jezuitą—jezuita, z literatem—literat, z luzakiem—luzak, nawet z głuchym—głuchy, słowem takiéj wiary jakiéj chcesz panie! Nasz solista, bohater wieczora, otwarcie, stanowczo i pnblicznie wyznaje, że on nie należy do żadnéj kategoryi i stronnictwa, a na dowód tego mówi, że on ma swoją dewizę, a ta brzmi: "Gdzie praca na polu narodowém, tam i ja jestem." tak samo tylko innemi słowy mówi nasz lud: "Kto dobrze myśli, niechaj temu Pan Bóg pomaga."

Jakkolwiekbądź wyłącznie nie jestem ani fizykiem, ani chemikiem, ani anatomem, ani nawet fizyognomistą; wszelako, nie przesądzając powiadam, o ile mnie się zdaje, że nasz solista pozwoli siebie zaliczyć do luźnomytologicznych.

Chociaż niedokładnie, chociaż jak przez mgłę, jednak wiemy i widzimy kto on. Słuchajmy teraz co i jak mówi? Otóż od chwili pierwszego odchrząknienia aż po ostatni wykrzyknik śledziłem go uchem szpiega, okiem chciwca nie dla czego innego, jeno żeby czytelnikom tych kilku słów rzetelnie, beztronnie i sumiennie zdać sprawę i niejako ich zaznajomić ze śmiało odważnym sdeklamatorem.

I tak, na samym wstępie mówca wykazuje konieczną potrzebę pracy na wychodźtwie w celu odbudowania Polski, po chwili wprowadza na scenę "naukę nowoczesnych duchownych polskich." która jedynie dąży do tego, aby księdza raz na zawsze oddzielic od społeczeństwa, narodu która o niczém inném nie myśli, jeno iżby w nim zadławić uczucie miłości ojczyzny i wlać kastowy płyn w żyły. Mówca mimochodem trącił o tę rdzenną kwestyą księdza-obywatela i poszedł daléj, to jest do biografii jezuity Piramowicza. Który to urodził się w 1735 r., został księdzem jezuitą, profesorem w seminaryum itd. Nasępuje radykalna zmiana w życiu jezuity z owym ważnym, w dziejach ludzkości i cywilizacyi, rokiem 1773 "zniesienia zakonu jezuitów." Na słowo "zniesienie zakonu jezuitów" cała publiczność, jakby zlana ukropem, wstrząsła się i hucznemi oklaski zagłuszyła mowcy j dźwięk słowa "jezuitów." Nie tylko że obecne tam niewiastki nie poskąpiły swych rąk na brawo, lecz nawet zdaje się, że i owe hyporboliczne gryzetki na ścianach wstrząsły się, poruszyły i rzekły... Amen! Mówca napuszył się—zakłopotał się—i nie wiedział co zrobić z tymi ojcami. Wyprowadził na scenę, więc musiał albo piać hymny pochwalne, albo też i trochę prawdy powiedzieć. Ciekawiście, jakże on tam z nimi postąpił? Ot tak, jak szkolne żaki z żydem, wyprowadzą na śliski lód i puszczą; a potém, potém zmykają iżby ich nie dostrzeżono i nie poznano. Tak postąpił i nasz mówca, wyprowadził ojców pod pręgierz opinii publicznéj, wykrzyknął mniéj więcéj w te słowa: "Jezuici skrzywili pojęcie młodziczy... pilnie obwijali w przesądy rodowe... stali na czele intryg politycznych..... Klemens XIV zmuszony rządami zniósł zakon.. lecz za to od chwili podpisu wyroku, jadł tylko i tylko jajka twarde... i umarł jedząc twarde jajka... gdy już nigdzie nie mieli schronienia, Katarzyna rozpustna przyjęła do Moskwy jako ludzi pożytecznych i najodpowiedniejszych jéj celom, widokom i zamiarom... wyobraźcie jacy to musieli być ludzie..." na tém urwał nagle boć mu się przypomniały owe jajka twarde. Szkoda, żałuję wielce i bardzo, że mówca wybrał połowiczną drogę i nie potrzebnie tak się obawiał owych twardych jajek. Tu była pora i miejsce na zdarcie maski z Rodyna Po zniesieniu zakonu, jezuita zostaje księdzem obywatelem, proboszczem w Międzyrzeczu i zarazem sekretarzem Komisyi Edukacyjnéj, nareszcie w 1801 r. umiera w Kurowie. Tu mówca z upodobaniem lubuje się nad cnotami ex-jezuity, wpada w zachwyt i zapominając gdzie jest: do kogo mówi, racze prawdopodobnie wyobrażając siebie gdzieś tam pomiędzy Poleszukami, Pinczukami i Kurpiami, długo, rozwlekle. monotonnie i nudząco aż do poziewającego przesytu, rozwodzi się i prawi o bractwach, różańcach, szkaplerzach, kantyczkach itd. tak, że na uzupełnienie przewodnika gospodarskiego nie stawało paragrafu tylko o chowie bydła i nierogacizny. Gdzieś tam na parafii, w długie zimowe wieczory, z nudy lub téż i z amatorstwa, mówca mógłby prawić bractwiennikom, czeladce, gosposi, uprzywilejowanym poufałością dewotkom itd. Zaś na rue Cadet, w sali Wolnych Mularzy, w Paryżu, gdzie czas tak drogi, gdzie pójść można jednoześnie na odczyty francuzkie przez pierwszorzędne miewane znakomitości—zabijać czas, prawiąc o regulaminie idealnych jakichś tam bractwienników—to coś więcéj jak nieodpowiedne, niestósowne, niedorzeczne, ba! nawet krotochwi no-ironiczne. Co to miało znaczyć na przykład owo długie, ckliwe, a żmudne i słomianym stylem wygłoszone kazanie "o czystości gospodyń," a szczególniéj ów mistyczny ustęp o dziesięciu drzewkach, co to każda białogłowa musi koniecznie przed zamążpójściem zasadzić?! Tuż koło mnie siedzący rodak na wzmiankę dziesięciu drzewek powiada: "To coś trąci Towiańszczyzną;" jam na to lakonicznie: jest o tém w Konfucyuszu, pod napisem metampsychoza: przejście dusz. Prawda, zbyłem tém niedyskretnego ciekawca, jednak wyznaję szczerze, że po dziś dzień "o dziesięciu drzewkach" w żadnéj teologii, nawet w tym to omnibusie scholastyczno-kazusowo-teologicznym, w Sumieniu Ś. Tomasza nie czytałem.

I jeźliby czcigodny deklamator (mówi z pamięci) z parę minut przeciągnął, prawiąc tonem i na nótę "De profundis clamavi," zrobiłby fiasco, ale fiasco w pełném znaczeniu tego wyrazu. Dzięki jakiéjś nieprzewidzianéj okoliczności, zapewne grymaśnym minom słuchaczy, mówca spostrzegł się gdzie jest i do kogo mówi, zmienił natychmiast ton, postawę, nawet i minę—i dawajże na "wychowanie seminaryjne." Dziwnie, jest coś w naturze człowieka-ludzi: ten sam człowiek co to pełza jak ślimak, jak żółw', skoro mówi z serca, z przekonania, z poczucia własnéj godności, dla dobra i szczęścia swoich bliźnich, ten sam niepostrzeżenie, pomimo woli przekształca się, nabiera otuchy, niejako odradza się i staje się wyższym nad innych, boć istotnie mówiąc prawdę czuje moc, siłę i prawo mówienia i nauczania. A co to mówić jeszcze o tém, kiedy mówca odczuje w publiczności tętno jednéj i téjże saméj nóty myśli i zaród jednobrzmiennych dążeń i usiłowań. Ksiądz Wilczyński skoro odczuł ten nastrój ducha w słuchaczach, ratując siebie rzucił się ogniście, z zapałem i ironicznie na wychowanie po seminaryach, to jest jako prawy ksiądz obywatel, przyjaciel postępu, wolności i prawdy, i tym jednym szczerze śmiałym zwrotem, jeźli nie zdołał wyjść z odczytu zwycięzko, to przynajmniéj wybrnął: jako tako. Cóż może być prawdziwszego nad to, co mówca wygłosił prawie temi słowy: w seminaryach koszlawią umysł, przyzwyczajają do biernego posłuszeństwa despotycznéj hierarchii, a nauki żadnéj a żadnéj, nawet filozofią jak na pośmiewisko wykładają po łacinie.

To sumienne wypowiedzenie prawdy, ta szczera chęć wyrwania młodego lewity z murów ogłupienia nie uszła czujnéj uwagi myślących słuchaczy; wszyscy jak jeden mąż wrzasnęli: brawo! i obsypali mówcę oklaskami. Jeżeli gdzie to tu ks. Wilczyński czuł namacalnie. widział oczywiście, przekonał się matematycznie, że omylił się grubo, wybierając półśrodkową drogę. Przeszły czasy czczéj paplaniny, trzeba myśli płodnéj w czyn, trzeba nasion drzewa Wolności, trzeba iskier na zarzewie i pochodnie. Słup ognia prowadził Mojżesza przez puszczę Arabii, szczypta nauki i prawdy niech też prowadzi księdza polskiego przez puszczę obłudy, zabobonu i fanatyzmu.

Sam przedmiot odczytu: jezuita—nie zły; ale cóż z tego kiedy mówca, jakkolwiekbądź potępił obłudny jezuityzm, nie pomyślał jednak o żadnym ogólnym poglądzie, choćby nawet o najelementarniejszém a prawdziwém zastosowaniu Ewangelii do pojęć XIX wieku. Prawda, mówił on o wszystkich rzeczach i niektórych jeszcze innych, lecz myśli rdzennéj, myśli ożywczéj, téj to nici wiążącéj początek z końcem, téj to osi w około któréj wszystko się obraca... nie pytaj. Dla czego? Ba! Wypowiedzieć swoje przekonania wobec ludzi mających przekonania, to trzeba trochę zastanowić się nad tém co się mówi, a nawet niekiedy i działać w myśl zobowiązania się. "Nie głupim Alexander Prądzyński!" Rzucić kilka słów ustępów, choćby i liberalnych, cóż to proszę kosztuje? A przecież zawsze znajdzie się ktoś taki, co to w którymśkolwiek dzienniku wytnie panegiryk pro domo sua, ot prelegent i nieśmiertelny.. gdyż dzieje powiedzą: "W Paryżu miewał publiczne odczyty itd."

Teraz pytam kiedy i komu nadarzy się tak przyjazna sposobność, okoliczność (jaką miał mówca) i tak odpowiedne miejsce do uzewnętrznienia i uwydatnienia charakteru księdza-obywatela-Polaka; w obliczu myślących i usiłujących rozkuć z kajdan ojczyznę... Polaków? Dziś, gdy dwa obozy w łonie samego kościoła stają do zaciętéj walki, czy ksiądz polski, miłujący prawdę, sprawiedliwość, ludzkość, wolność, naród i ojczyznę, pytam czy dziś ksiądz polski może bawić się w rozkosznie usypiające półśrodki? A tém samém, bezpośrednio wprawdzie, podawać rękę i potakiwając rozwścieklać "szkołę fałszerzy, obłudników, oszczerstw i szału."(Gratry list III, str. 50) Ksiądz obywatel, prawy Polak nie może dzisiaj milczeć i nie powinien; w przeciwnym razie stanie się wyrzutkiem społeczeństwa i będą mu pluć w oczy, tak jak dziś już to robią we Włoszech, w Belgii, we Francyi i nawet w polskim Rzymie... Krakowie... Burda Krakowska!

Od chwili otwarcia soboru w kościele natychmiast zarysowały się dwa obozy, dwa stronnictwa. Jedno dążące do konstytucyi kościoła, do rzeczypospolitéj powszechnéj, do wiary opartéj na rozumie i zdrowych zmysłach, słowem dążące do wszechspójni i braterstwa ludzi, nie zważając na herby, kasty i przywileje; drugie zaś oparte na bagnetach carów, na dystylowanéj krwi jasnych i jaśnie oświeconych, bezczelnie depcząc prawa wrodzone człowieka, ewangelią, hajdamacko woła: panować chcę, panować i jeszcze panować! a to rozumie się kosztem krwi i potu biednéj i z głodu mrącéj... bezherbowéj hałastry.

Syn wolnych Franków, syt nauki i pełen rozumu, członek Akademii francuzkiéj, profesor Sorbony ksiądz Gratry, zgorszony "szkołą obłudy, fałszu i szału" wykrzykuje: "My powinniśmy bronić kościoła, a co najważniejsze, to powinniśmy zdzierać maski ukrytym nieprzyjaciołom naszym, którzy zabijając nas, przyczepiają się do kościoła jak wąż do naszéj Matki. O! tak, naszym nieprzyjacielem jest ten, o którym Ś. Bernard powiedział: "'Obrzydły jest ziemi i niebu, ponieważ chciał ujarzmić ziemię i niebo.'" (Gratry. list III, str. 60.)

Zostawmy na chwilę stronnictwa kościoła, soboru. a spójrzyjmy na matkę, naszą Niobe... Polskę. I zapytajmy za co jéj najmilsi xx. Mackiewicze, Brzoski, Iszory, Wittorty, Maxy, Jancewscy itd. zawiśli na szubienicach? i za co setki jeszcze jęczą w skrzepłych lochach Sybiru, i gdzieś tam daleko rozproszeni po świecie mrą z głodu i schną z tęsknoty? Niobe-Polska odrzeknie: "za Wolność, za Równość, za Miłość brata w człowieku." Jeżeli Polska temi słowy odpowiada za szubieniczne trupy, za chodzące szkielety Sybiru, to czyż my nieodrodni synowie zbolałéj naszéj matki mamy bić pokłony carom Moskwy, Wiednia, Berlina i Rzymu. Oh! jeźli dziś brat rodak, dzielący z nami nędzę wygnania, lochy Sybiru, wyciągając przyjazną dłoń wita słowy: "jak się masz bracie i księże obywatelu," i pyszni się z swego księdza przed obcymi, to zapewne nie za to i nie dla tego, że ten podli się przed carami, lecz pewno za to, że walczy za prawa człowieka. Ależ gdzie dzisiaj to Duchowieństwo polskie, narodowe, bratersko tolerancyjne, wykształcone, postępujące z duchem wieku i czasu? Ależ gdzie i gdzie??

W zaborze moskiewskim, może... ależ tam duchowieństwo przykute do

ały jak ów Prometeusz, ależ tam dziki Moskal dzień i noc drze wnętrzności, wyrywa język, kajdani myśl, zatruwa światło prawdy, wiedzy, chociaż tam prawe syny Polski na widok moralnego zniszczenia i dżumy mrą w uściskach węźów, owe syny Laokona, jednak milczą, boć sęp czyha na wyrwanie języka. Więc któż to duchowieństwo powinien wyręczyć i prawdomównemi słowy wygłaszać zbójów wobec świata, kościoła, Polski dwudziesto-milionowej? Jeżeli duchowieństwo galicyjskie, poznańskie woli spokojne trawienie nad obronę prawdy i Polski, ciekawym, coż na to emigracyjne?

Stowarzyszenie kapłanów polskich na wychodźtwie, to jest kółko księży myśli, czynu, poświęcenia, wstrętne do miana—bandy bezcelowo koczujących cyganów—obsaczone ze wszech stron "szkołą szału," dumne z tytułu krwią nabytego "ksiądz obywatel," nie moglo zrzec się swoich praw, nabytych wiekową spójnią z narodem. na korzyść "szkoły kłamstwa i szału." Zatém pod datą 29 listopada 1869 r. napisało "List otwarty do księdza prałata Sosnowskiego," jako mającego prawo zasiadać na ławach prawodawczej Izby kościoła, w którym to liście w myśl postępu, potrzeb wieku, w myśl ducha narodu polskiego i ewangelii wypowiedzla o swe i Polski przekonania, i, jako prawego księdza obywatela zobowiązało przedstawić to pod obrady Izby-soboru. Ks. Sosnowski skoro w otwartym liście wyczytał, że proboszcze powinni być wybierani przez parafian, biskup przez księży i lud itd." zapewne natychmiast się natchnął na "szkołę szału" i oszalał, boć zbluźnił i rzekł: naród... to bestya! *"multorum bellua capitum"* (*Czas*, 1876). Za nim rzucił się jak niedźwiedź wykuszony z legowiska, nie-odpowiedzialny oszczerca (redaktor) *Tygodnika* kłamstwa (*katolickiego*), fałszerz podpisów ks. Józef Stragaczyński, i w Nr. 2 *T. K.* z 1870 r., ohydnie wymyślając na księży polskich w Paryżu, łże, i tak bezczelnie, że istotnie Moskal nawet by się wstydził i wypierał tak niecnego kłamstwa. Otoż wymyśla, słuchajmy: "Odpowiedź ks. Sosnowskiego na te dziwne, a nam tyle szkodzące uroszczenia Stowarzyszenia kapłanów polskich, to jest garstki księży, którzy aż nazbyt sprawami światowemi (Polską) są zajęci, stracili ducha kapłańskiego a nie wiedziec na mocy jakiego tytułu, prawa lub przywileju tak potworne odważyli się publikować żądania (tłómaczy ich chyba radykalizm zachodni, którym się pozarażali); odpowiedź ks. Sosnowskiego jest napisana jak z wielką staranością co do rzeczy tak wyrozumiałością dla nieszczęśliwych, obałamuconych księży wygnańców... Dodajmy, że na liście otwartym podpisany jest na czele ks. K. Mikoszewski, znany dostatecznie czytelnikom." Nie mówię tu nic o ks. Mikoszewskim, ani pro, ani contra. Pytam tylko nie-odpowiedzialnego fałszerza podpisów ks. Józefa Stragaczyńskiego, jakiém prawem śmiał dodać na czele podpisów imie ks. Mikoszewskiego? List otwarty był ogloszony drukiem, podpisu ks. Mikoszewskiego tam nie ma, więc zkądże ks. Józef wziął takowy? Można należeć do "szkoły szału" i nie być u Bonifratrów, i bawić się w redaktory: lecz trzeba, jeżli nie więcéj to co najmniéj umieć czytać podpisy. Chyba że ks. Józef Stragaczyński trzyma się zasady "szkoly obłudy": "cel uświęca środki." Daléj ten sam nie-odpowiedzialny nastręczacz podpisów w Nr. 5, najgrawając się z duchownych polskich w emigracyi i z narodu, tak plecie: "Ks. prałat Sosnowski nie chciał być heroldem niedorzecznych wniosków niektórych duchownych polskich z emigracyi, za co zapewne fanatyczni narodowcy rzucą nań kamieniem. Ale że szanowny ten prałat, odmiatając od siebie niegodne pośrednictwo od niegodnych kapłanów, którzy niestety zowią się polskimi, stał się Rzymianinem... na to gotuje dowód..." Skoro już ks. Sosnowski nazwał naród "bestya," nie potrzebnie "gotuje dowód" że "stał się Rzymianinem," ufam mu i wierzę na słowo. Mnie tu nie o dowody chodzi, że ks. Sosnowski stał się Rzymianinem; lecz mi tu chodzi o to, czy wynajmujący dowolnie podpisy ksiądz Józef Stragaczyński przemawia w imieniu duchowieństwa poznańskiego, czy też tylko w imieniu "szkoły szału." Powiadano mi, że duchowieństwo poznańskie światłe, uczone i narodowe. Jeźli prawda, dla czegoż więc w imieniu tegoż, ks. Józef fabrykant podpisów, bluźni narodowemu duchowieństwu w emigracyi, bezkarnie mianując "niegodnymi kapłanami, fanatycznymi narodowcami itd." i dla czegoż więc tak bezczelnie urąga się z publiczności, dodając samowolnie fałszywe podpisy, dla czegoż ??

Ośmielona *Unia* bezkarną łajaniną jak również i dowolną fabrykacyą podpisów godnego swego braciszka *Tygodnika*, w Nr. 24, wierzgając téjże *Unii* redaktor piórem, jak nie wiesz już kto i czém, rzuca się jak tchórz na księży polskich w emigracyi, i odsądzając, bez obrony, od czci miana księży polskich, za napisanie otwartego listu, tryumfująco pysząc się z niezrównanego swego dowcipu i rozumu przed abonentkami swego dziennika, tak wyrokuje: "Nie myślimy wcale przytaczać tu pojedyńczych paradaxów i błędów, jakie mieści ona (odezwa, to jest list otwarty), a które z odrazą dla nich samych, a z politowaniem dla ich autorów odrzuci duchowieństwo polskie." Ciekawiście może wiedzieć co to dumny redaktor, katechizując swe naiwne postulantki w zasadach nieodgadnionych celów *Unii*, chrzci mianem paradaxów i błędów? Otóż wyrażenie księży polskich: "Że władztwo doczesne papieży w żadnem z kościołem i posłannictwem jego nie zostaje związku, lecz wprost mu jest przeciwne; że katolicyzm stracił z powodu jego na boskości swéj, że oni nie należą, Boże zachowaj, do katolicyzmu dworu rzymskiego." Po zacytowaniu tych kilku słów, *Unia* zwycięzko machając rękami, jak ów Don Kiszot Cerwantesa, tak wrzeszczy: "Wątpimy, aby się znalazł ktoś z rozsądnych i uczciwych, coby chciał podobném przypuszczeniem krzywdzić duchowieństwo polskie." Rozumie się duchowieństwo *Unii*. Cna *Unia* zapomina, że zapładnia się we Lwowie, nie zaś w Poznaniu, i że ks. Wierzchlejski, to nie ks. Halka.

Taż sama *Unia*, mając siebie za coś, to jest niby za organ duchowieństwa galicyjskiego, łapczywie chwytając wszystko co trąci pleśnią, w Nr. 30 przedrukowuje z *Czasu* list ks. Józefa Wilczka, dziekana wydziału teologicznego wszechnicy krakowskiéj, jak również i adres tego fakultetu do Papieża. Między innemi w liście ks. Wilczka czytam: "Potém oddawca adresu ksiądz Józef Czerlunczakiewicz opowiadał mu po włosku treść adresu, a gdy Ojciec św. usłyszał, iż wydział teologiczny krakowski przez Bonifacego IX w roku 1397 zrównoważony z paryzkim i temi samemi prawami i przywilejami opatrzony co i Sorbona paryzka, nie pomału się zastanowił; a czytając wyrazy w adresie "Episcopo Episcoporum universali," przytém "Summa Sede Apostolica, ad quam nulla fraus accessum habet," najdokładniéj był, jak wyrzekł, przekonanym, że fakultet krakowski przeciwny jest duchowi Gallikanów, co też widoczne na nim zrobiło zadowolenie... a gdy mu żegnający się profesor chciał ucałować stopy, Ojciec święty odciągnął nogę (brawo! postęp), a rękę tylko podał do ucałowania."

Ks. Wilczek, zdając sprawozdanie z posłuchania ks. Józefa Czerlunczakiewicza, jakoby coś zrobił narodo-polsko-postępowego, nie rumieni się, lecz rad i dumny, że Ojciec święty odciągnął nogę, obwieszcza narodowi i światu, że "Fakultet teologiczny krakowski przeciwny jest duchowi Gallikanów;"—a więc i Pollonów! Ciekawym po cóż tam przebywa w Krakowie, na polskiéj ziemi? A niech idzie tam do licha do Ś. Klaudyusza do Rzymu, tam znajdzie podobnych sobie, z matką Makryną, to jest z prologiem do Barbary Ubryk—i tu oszukując wzajem jedni drugich dopną tajemniczych celów... Zmartwychwstania. Gdyż istotnie siedzieć w Krakowie z usposobieniem antinarodowém nie warto, boć może jeszcze spotkać... Burda Krakowska!

Duch Gallikanów, to duch Pollonów, to duch ewangelii, to sobór wyższy nad papieża, to wiara oparta na zdrowych zmysłach, na rozumie. Duch Gallikanów to kościół, to ów symboliczny pelikan, karmiący własną krwią swe dzieci... ludzkość.

Szkoła kłamstwa, oszczerstw i szału, powiada hrabia Montalembert, "ulała bałwana w Watykanie ażeby w całopalnéj ofierze złożyć sprawiedliwość, prawdę, rozum i historyą. Jeżeli słowo "bałwan" wam się zdaje za silne, chciejcie przeczytać to, co do mnie pisał arcybiskup Paryża ks. Sibour we wrześniu 1853 r.: ""Nowa szkoła ultramontańska prowadzi do bałwochwalstwa; bałwochwalstwa tak władzy doczesnéj jako też i duchownéj..."" (List Montalemberta z 28 lutego 1870. *Opinion Nationale*, Nr. 69.)

Ks. Gratry w III liście, broniąc kościół od napaści "szkoły szału," zgorszony wykrzykuje, patrzcie czego to oni nauczają, że "Papież to przenajświętszy Sakrament, że można być dobrym katolikiem nie modląc się do Najświętszéj Panny, a nie można być dobrym nie modląc się do Papieża. Otóż co nam ślepi podają za prawdziwy chrześcianizm! Gdy biskup Orleanu te brednie, te zbrodnicze tendencye zwie tylko "szalonym romanizmem," ja znajduję, że jest wielce pobłażliwym. Toć to jest zapoznanie Chrystyanizmu, pogarda kościoła, ewangelii i samego Pana naszego Jezusa Chrystusa."

Do tego dodać muszę, że ja sam będąc w Lowanium 15 września 1869 roku, widziałem w jednym z kościołów tuż przy wielkim ołtarzu apoteozę szału, jak się zdaje, co? ot ni mniéj ni więcéj jak... Piusa IX... na krzyżu!

Cóż na tę gorączkę mózgu i odradzający się poganizm powiada duchowieństwo polskie niższe i narodowe? milczy i kwita. Ks. Wilczek, korzystając z błogiéj ciszy, oparty na ks. Józefie Czerlunczakiewiczu wrzeszczy i zawodzi w niebogłosy "ad quam nulla fraus accessum habet."

Jeżeli ks. Wilczek wie, jak sam wyznaje, że wydział teologiczny akademii krakowskiéj ma też same przywileje i prawa co i Sorbona, to także zapewne nie tajném mu jest, że od chwili zagnieżdżenia się w Polsce jezuitów, tenże fakultet nieustannie i wciąż prowadził najzaciętszą walkę z żarłocznymi ojcami. O tempora, o mores! dzisiaj sam przedstawiciel i stróż niezależności i chwały tegoż fakultetu, nie tylko że oddaje w ręce kosmopolitycznym ojcom tak nam drogocenną edukacyą, lecz jeszcze ogłaszając niefortunny swój postępek w pismach, jakkolwiek bądź ubocznie, poniekąd zawsze najgrawa się i urąga narodowi. Oh! bogdajby ksiądz Wilczek był farbowanym lisem i oszukał niepolskich ojców, czego mu życzę z całego mego serca i z całéj mej duszy, tu można byc Wallenrodem, boć tu chodzi o szczęście narodu, o dobro Polski, ludzkości.

"Wydział teologiczny krakowski temi samemi prawami i przywilejami opatrzony co i Sorbona." Jakże się dzisiaj postawiła Sorbona wobec soboru, a jak też fakultet krakowźki? Dziekan Sorbony, biskup Maret walczy jak lew w obronie praw i przywilejów Sorbony—Gallikanizmu. Dzieło (du Comité général et de la paix religieuse). A dziekan Wilczek układa ody na notę "do któréj (stolicy apostolskiéj) żaden obłąd przystępu nie ma." Ksiądz Gratry, profesor Sorbony podsadził miny pod szkołę fałszu. kłamstwa i szału, i czeka stósownéj chwili. (Broszury pod tytułem: Mgr. L'Evêque d'Orleans et Mgr. L'Archévêque de Malines). A ksiądz Józef Czerlunczakiewicz profesor fakultetu krakowskiego jedzie do Rzymu i tam pokornie, pobożnie i po włosku błaga i modli o pęta i kajdany na myśl, rozum i wolną wolą, a otrzymawszy te, w zachwycie wyśpiewuje jak ów drugi Simeon "do któréj żaden obłąd przystępu nie ma." Sorbona szczyci się ze swoich praw i przywilejów, a zatém i broni ich. Akademia krakowska szczyci się ze zrównoważenia z prawami i przywilejami Sorbony, a zatém zrzeka się; gdzież tu proszę, domagać się logiki? chyba fakultet krakowski wytłómaczy i to jeszcze po włosku... Na miłość prawdy, na miłość zdrowego rozsądku, jeżeli już nie rozumu, przestańmy bawić się w bogów Watykanu; dość tego nawet aż do przesytu mamy w mitologii. Ojciec święty był ojcem św., jest i będzie; Bogiem nie był, nie jest i nigdy, przenigdy nie będzie.

Przystępując do skreślenia tych kilku słów, miałem na celu li tylko odczyt ks. Wilczyńskiego, ale że ten—mówiąc o wszystkich rzeczach i niektórych jeszcze innych—nic prawie nie powiedział o duchowieństwie polskiém tegoczesném, tak za granicą jako też w kraju, party bezwstydem "szkoły szału," zmuszony byłem na chwilę opuścić chaos sali Wolnych Mularzy, a zbaczając zrobić tę małą wycieczkę, aż po za odczyt, aż do spraw bieżących, naglących, palących, a tak i tak z blizka i z bliska nas dotykających.

A dla czego to zrobiłem? a to dla tego żeby powiedzieć cierpiącéj braci w jasyrze Moskwy i na wygnaniu a śpiącéj w letargu w Poznaniu i Galicyi,

że duchowieństwo polskie narodowe. . jest postępowe, że działa w myśl ewangelii, nie zaś w myśl ohydnych mrzonek inkwizycyi; że duchowieństwo polskie myślące, nie zaś bandy bezczelowo koczujących cyganów, nie zaś tłuszcza rozpasanych istot w kraju, nie bierze i nie weźmie współudziału ani w oszczerstwach *Tygodnika katolickiego* ani w bredniach *Unii*; że nie szukało i nigdy szukać nie będzie natchnienia w "szkole szału," iżby bluźnić ludziom myśli, czynu, poświęcenia na polu wszechszczęścia Polski i ludzkości. Duchowieństwo polskie narodowe pójdzie sercem, myślą, czynem, tam gdzie usłyszy hymn na nótę : "Precz z tytułami książę i pan itd."

Miałbym jeszcze wiele do mówienia o stósunku kościoła do państwa, to jest jednego towarzystwa, społeczeństwa do drugiego towarzystwa, społeczeństwa (kościół i państwo to są słowa techniczne), o harmonii ewangelii z postępem, z odkryciami i wynalazkami, o księdzu obywatelu jako nauczycielu; o przesądzie bezżeństwa księży; o zmniejszeniu liczby klasztorów itd. Lecz na mą niewypowiedzianą pociechę, zapewne i wszystkich miłujących prawdę, dowiaduję się w tej chwili, że jeden z liberalnych księży polskich ma wystąpić z publicznym odczytem, acz nie mam prawa przesądzać co i jak powie, mam jednak niepłonną nadzieję, że w pełni odźwierciedli księdza obywatela Polaka. Z niecierpliwością więc wyczekując owéj błogiéj chwili, na teraz jak najgoręcéj życzę ks. Wilczyńskiemu jak najrychlejszego przesilenia, to jest przejścia ze stanu biernego czy to do grona księży postępowych, czy to do szkoły szału, czy to do bezczelowo koczujących cyganów, czy to wreszcie choćby nawet i do czeredy sprzedajnych mnichów co to Polskę sprzedali za 150 rubli sr.,* gdyż dewizę, którą ks. Wilczyński przykrywa się. "gdzie praca tam i ja jestem" co znaczy po mazursku "kto dobrze życzy, niech temu Pan Bóg pomaga," dzisiaj niezaprzeczenie zwą maską. A że dopóki nasza matka Polska i ludzkość jęczą w kajdanach, nie masz u nas karnawału,—precz więc z maskami.

Ksiądz Alexander Balczewski, student teologicznego fakultetu Sorbony.

Paryż, dnia 26 marca 1870.

* Mowa tu o mnichach, którym Moskale kazali opuścić swe stanowiska i za to im płacą pensyą za granicą.—(Przyp Red.)

LISTY NASZYCH PRENUMERATORÓW.

I. Na uwagi ob. Mickaniewskiego w przedmiocie amnestyi, umieszczone w Nr. 239 i 240 *Głosu Wolnego*, ob. Wernicki nadesłał następujące tłómaczenie :

Paryż, 25 marca 1870.—W ostatnim numerze *Głosu Wolnego* wyczytałem zarzut zrobiony mi przez ob. Mickaniewskiego. Ubliżyłbym szanownemu obywatelowi, gdybym nie wytłómaczył się z wstępu z rozmysłem napisanego w krótkim życiorysie ob. Niewęgłowskiego w *Mrówce*.

Wyznaję że jedynym obowiązkiem politycznego działacza jest oddanie jak największych usług prawdziwych narodowi. Kto raz rozmyślnie lub przypadkiem wyszedł na widownią pracy narodowéj, temu cofać się nie wypada, pod karą odstępstwa własnéj chorągwi. Otóż jeżeli cała demokracya lub pojedyńczy jéj członkowie wywieszają chorągwie walki z najazdem lub ciemnotą, co jak rdza rozjada czysty metal narodu, odstąpić im nie wolno od téj pracy, choćby ona prowadziła ze sobą nawet upokorzenie się osobiste i spotwarzanie przez niechętnych na zawsze. W pracy demokratycznéj jednostki są niczém innem jak narzędziami do przeprowadzania zasad niewzruszonych, prawdziwych. Narzędzie może się skruszyć, zniszczyć; ale przez to praca ustać nie powinna; i w rzeczywistości nie ma żadnéj niesławy dla narzędzia, że praca nad siły jego spowodowała upadek lub że dokonywając pewnéj roboty, w brud i kał zanurzonem zostało.

Na to się zgodzimy, sądzę. A jeżeli to tak jest, w takim razie wobec pracy narodowéj nie ma żadnego kału, któryby trzeba było zaczerpnąć lub dotknąć się, jakiby zwalał człowieka przynoszącego korzyść niewątpliwą zasadzie wyznawanéj i narodowi. Któż z nas potępi emisaryusza, który nie raz może musiał przybrać na siebie maskę czynownika lub carskiego poplecznika i jawnie bluźnić własnéj ojczyźnie, by uniknąć zasadzki i zdrady i nieść słowo pociechy braciom? Kto z nas republikanów potępi Chrystusa, że faryzeuszom powiedział : oddajcie cesarzowi co jest cesarskiego? Wszak on nie powiedział co uznaje za cesarskie?

Tak samo ma się i z każdą pracą narodową. Ażeby ona była skuteczną, musi być zastósowaną do chwili i, nie zapierając się celu, nie opuszczać żadnéj sposobnéj okoliczności, mogącéj wzmocnić stanowisko. Nikt wszakże nie zaprzeczy, że z despotyzmem nie ma większego i potężniejszego wroga do walki nad oświatę. Narody oświecone, jeżeli nawet i znoszą władzę z tytułem cesarzów, to władza ta będzie imienną tylko, bo mądre prawa i wykonanie obywatelskiego obowiązku położą wieczną tamę nadużyciom absolutyzmu.

Lecz dajmy ciemnemu ludowi najpostępowsze i najradykalniejsze ustawy, nie zostanie on przez to wolny. Dzicy w swéj ciemnocie nie mają swobody; drżą o byt i o jutro, a choć mają zupełną wolność, muszą wzajemnie się zjadać. Zatém, na większą pracą patryotyczną uznaję oświatę narodu i kształcenie jego mass ciemnych, a walkę na tém polu stawiam wyżéj od walki orężnéj, która tylko chwilowo zabłyska by wdziać laur zwycięztwa lub oblec kirem rodziny bohaterów narodowych.

Nad walkę z ciemnotą nie znam świętszéj, to przyznaję otwarcie. Lecz bym mógł usprawiedliwić moje twierdzenie, raczcie mi pozwolić rozpowiedzieć następny wypadek. Za Dnieprem istniał horyborecki instytut agronomiczny. Młodzież tam się zbierała z całéj Białorusi, Litwy i Moskiewszczyzny i kilkaset kształciło się w tym wyższym zakładzie. Jakie życie pędzili, dość powiedzieć, że później poznałem typy, które w małém miasteczku przeżywały rocznie po 3000 rubli, a dziennie wychodziło po 3 wiadra wódki. Co mogła Polska liczyć na taką młodzież? Miała to być zaraza i potępienie jéj bytu narodowego.

I oto się zjawia tajemnicza istota, znana powszechnie pod nazwą biskupa, Dmuchowskiego (jeżeli mię pamięć nie myli). Przybył on niby z Wilna. Niemłody, zapisuje się na ucznia szkoły, pędzi żywot ascetyczny wśród młodzieży hulaszczéj. Dzielniejsze żywioły przyciąga do siebie i oto młodzież odzyskuje polskie swe cechy, znika rozpusta, a pierwsze po rozbiorze powstanie za Dnieprem i Dzwiną, jest sumienną nagrodą prac narodowych biskupa. Miasto Horki wybierało go swym burmistrzem wbrew rządu i własnéj jego woli; a jeżeliby go śmierć nie zabrała w przeddzień wybuchu, inny by może obrót miały oddziały mohylewskie. Więc jeden tylko człowiek, demokrata i patryota, dokonał przeistoczenia massy młodzieży zepsutej i pamięć swą zapisał w umysłach obywateli patryotów na długo, dał popęd do wyższych celów. Cożby to było, gdyby taki człowiek stał się profesorem? wpływ jego sięgnąłby w sfery profesorskie, ożywił i natchnął pracą, a z tak przemienionéj młodzieży wyprowadziłby na pole wyższéj nauki niejedną zdolność i narodowi oprócz demokratów dałby mężów pracy i nauki. Tego również nikt nie zaprzeczy.

Otóż gdy zważam polityczne prace naszych uczonych na wychodźtwie, jeżeli oni są demokratami, niepodobna mi nie czuć bólu, że ludzie ci nie stoją na stanowisku odpowiedniém, a odpowiednie dla nich stanowisko to takie, z któregoby mogli młode nasze pokolenie przejąć gorącą miłością nauki zarówno jak i dobra powszechnego.

Cóż bowiem daje nam najazd? Albo ludzi nie umiejących nic i wyniesionych za nienawiść polskości albo uczonych bezbarwnych. Są to zera, dające im jedność na początku a nasze zakłady zasłyną potęgą i mocą prądu naukowego. A czy wobec takiéj doniosłéj potęgi, przez którą zmienia się duch naczelnych instytucyj oświaty całego zakątka kraju naszego, amnestya patryoty jest ubliżeniem, zdradą zasadzie, odstępstwem? Nie, ona byłaby tylko ułatwieniem przeprowadzenia pojętych prac na polu oświaty narodowéj, pomocą do dźwignięcia z upadku mass społecznych, byłaby tém czém zaparcie się trzykrotne Chrystusa przez Piotra, zastępcę jego.

Wyznaję to otworcie, chociaż wiedząc żem zbieg z katorgi moskiewskiéj, nikt mnie nie posądzi o łudzenie się nadzieją amnestyi i pragą łask carskich, jeżeli dla kogo bądź to pewno dla mnie nie istniejących. Chcę tylko, byśmy, nie potępiając Perczela, Koszuta, Bancela, Ledru Rollina, Blanca i innych działaczy narodowych, nie potępiali i naszych rodaków jeżeli w kraju po amnestyi pełnią powinność obywatelską. Jeżeli zaś oni po powrocie zbici tułactwem i zmarniali duchowo i upodleni długą nędzą mają być tylko pobudką do szyderstwa i złowrogiego oburzania wstecznictwa na prawdziwych patryotów, o! w takim razie przekleństwo ciskam na takich amnestyonowanych wyrzutków wychodztwa i zawczasu potępiam. Al. Wernicki.

Ob. Wernicki upiera się przy barddo śliskiéj, niebezpiecznéj a nawet zupełnie fałszywéj teoryi walenrodyzmu. Rozumowania jego dążą do tego, ażeby dla spodziewanych wątpliwych korzyści dać rozgrzeszenie za czyn plamiący moralność i godność Polaka, jakim jest przyjęcie amnestyi od cara moskiewskiego. Szanujemy pobudki ob. Wernickiego, widzimy w nich gorące i słuszne pragnienie sprowadzenia do kraju jak największéj liczby uczonych czynników oświaty narodowéj, ale wraz z ob. Mickaniewskim na pierwszym rzędzie oświaty narodowéj kładziemy "zachowanie stanowiska politycznego w niepokalanéj godności." Człowiek, któryby tę godność nadwerężył, nie miałby powagi u tych których by nauczał, a więc jego nauka nie przyniosłaby spodziewanego pożytku. Mochnacki zbawienne prawdy głosił w r. 1831, ale że przedtém dopuścił się czynu niegodnego patryoty polskiego, nie był słuchanym, wpływu żadnego nie wywarł w właściwym czasie. Ob. Wernicki powiada w końcu swego listu : "nie potępiając Perczela, Koszuta, Bancela, Ledru Rollina, L. Blanca i innych działaczy narodowych, nie potępiajmy i naszych rodaków, jeżeli w kraju po amnestyi pełnią swoją powinność obywatelską." Najprzód nikt nie potępia pełnienia powinności obywatelskiéj, nawet po przyjęciu amnestyi; powtóre ani Kaszut ani L. Blanc amnestyi nie przyjęli; po trzecie błąd wielki popełnia każden kto tylko miesza amnestye moskiewskie z amnestyami, jakie są udzielane w krajach wolnych jak Węgry i Francya. Tam amnestyonowany pozostaje niewolnikiem, które własne kajdany całować musi; tu odzyskuje wszystkie prawa wolnego obywatela.

II. Ob. Tokarzewicz nadesłał nam odpowiedź na nasz artykuł o nowym manifeście Zjednoczenia, zamieszczony w Nr. 239 i 240 *Głosu Wolnego*. W piśmie tém nie znajdujemy nic takiego coby naszą krytykę osłabić mogło i dla tego zbytecznem byłoby zatrudniać niém naszych czytelników. Natomiast wyjmujemy z listu ob. Tokarzewicza następujące rady w celu *wyjścia z zamętu*, w jakiém się obecnie emigracya znajduje :

I. Wziąść to co jest, bez długich, uczonych wywodów, mianowicie Zjednoczenie Emigracyi przerobione na Zjednoczenie Demokracyi oraz Towarzystwo

Demokratyczne zmienione w duchu Centralizacyi *wieloosobowej* (zapewne kilkoosobowéj.—P. R.), i starać się dwa te odłamy zlać w jedno ciało. Krok pierwszy zrobiło przed kilku miesiącami Zjednoczenie. (Jaki, nie wiadomo. P. R.), krok drugi należy do Towarzystwa.

2) Zkoncentrować propagandę. Powiada *Głos Wolny*, że *Niepodległość*, organ Zjednoczenia, kona. Bardzo rozumnie robi. Demokracya ma pismo czysto polityczne: wasz mianowicie dziennik; mą organ socyalny, ulotnoteoretyczny: *Rzeczpospolitą*. *Niepodległość* chciała była pozostać pismem polemicznem, ale polemika nie służy schorzałym płucom emigracyi. Precz z polemiką, precz z dziennikiem, który wysysał ubogi grosz stowarzyszenia na artykuliki zapominane na wieki w chwili przeczytania. Dla spraw wewnętrznych Zjednoczenie ma okólniki, dla doraźnych odpowiedzi stoją otworem kolumny *Głosu Wolnego* i *Rzeczypospolitéj*, a jeżeli nie, jeżeli *Głos Wolny* i *Rzeczpospolita* na swoją tylko rękę zechcą politykować, drogą broszurek więcej się wskóra niż spowszedniałym kanałem czasopisma. Natomiast porządna książeczka wydana raz na miesiąc lub na dwa miesiące uczyni zadość powszechnéj potrzebie szerokiéj i otwartéj dyskusyi nad kwestyami polityczno-społecznemi. Od roku marzę o takiém miesięczniku —i stanąć on nareszcie musi.

3) Paryż jest i będzie środkiem życia emigracyjnego. Jeżeli w tym centrze ruch nasz polityczny zamrze, trudno będzie obudzić go gdzieindziej. W celu wzajemnego porozumienia odłamów demokracyi wychodźczéj, komitet Zjednoczenia wsparł Czytelnią Polską (rue de l'Ancienne Comedie, 24), założoną przed trzema miesiącami. Utrzymać wspólnemi siłami tę instytucyę.

4) Na prowincyi emigracya sama o sobie myśleć powinna, a nie oglądać się na komitety i centralizacye. Komitet ma pracować nad zawiązaniem stósunków z krajem, nie zaś bawić się w urzędowe formułki organizacyjne. Jeżeli gminy nie mają w sobie sił i zasobów do samoistnego rozwijania się, darmo nad niemi trzaskać z bicza. Jestem obecnie pisarzem komitetu, jestem nim od roku, a wątpię czy która gmina okaże *dwie* komitetowe komunikacye z moim podpisem. (Właśnie z tego powodu są narzekania na komitet.—P. R.) Jeżeli to sprawia upadek Zjednoczenia, niech padu i niech idzie na pohibel taki związek gdzie biurokratyzm jest bodźcem rozwoju. Sprawy publiczne w publicznych się pismach traktują. Okólniki dać winny temat do pracy po kołach i sekcyach, a sekcye muszą dostarczać osnowy i środków na okólniki. Oprócz tego podatek na sprawę bieżącą i składkę na fundusz wieczysty, czyli żelazny. Rzeczy specyalne, jak np. tenże sam fundusz żelazny, powinny być powierzone specyalnym komitetom.

5) Nie narzekać i nie żądać od nikogo wielkich rzeczy. Spokojem i wytrwałością iść do celu. Jaskrawość i przesada już nam tyle rzeczy zepsuły. Nie możemy się zdobyć na tysiące sprzymierzonych i miliony franków, to dbajmy przynajmniéj o setki.

WYSTĄPIENIE DELEGACYI GALICYJSKIÉJ Z REICHSRATU.

Pan Grocholski, prezes koła polskiego w Wiedniu, złożył marszałkowi izby niższéj reichsratu oświadczenie z dnia 31 marca, mocą którego 30 delegatów od sejmu galicyjskiego, straciwszy wszelką nadzieję ażeby za panowania systemu centralistycznego w Wiedniu słuszne żądania autonomii dla Galicyi i innych krajów w skład cesarstwa austryackiego wchodzących przyznane zostały, składają swoje mandaty i reichsrat opuszczają. W ślad za delegatami galicyjskimi poszło 12 Słoweńców a reichsrat zredukowany został do takiéj liczby, że jego postanowienia żadnéj moralnéj powagi mieć nie mogą.

Tak więc przepełniła się nareszcie miara sprawiedliwości niemieckiéj z jednéj, a loyalnéj uległości posłów galicyjskich z drugiéj strony. To co doradzały godność narodowa i zdrowe pojęcie stanowiska Polaków w sejmie austryackim, to co wymagała solidarność ludów słowiańskich wobec zaborczego żywiołu Niemców austryackich, spełniło się nareszcie, późno, ze stratą wielu naszych i pobratymczych interesów, ale się spełniło przynajmniéj w sposób, któremu wrogie nawet wymagalności nic zarzucić nie mogą, gdyż po wyczerpnieciu wszystkich stopni cierpliwości i zawodów, wszelkich prób niemożliwéj z centralistami zgody.

Zwyciężyła polityka do któréj dołączaliśmy zawsze nasz skromny głos. Nie idzie zatém ażebyśmy owo zwycięztwo jakiemu wyłącznemu stronnictwu przyznaweli, ma ono ogólną, narodową doniosłość, wkłada na wszystkich Polaków jednakowy obowiązek przyjęcia go za swoje własne a następnie bronienia solidarnie wszystkich następstw jego wobec uporczywego na nasz grunt parcia żywiołu niemieckiego.

Wystąpienie z reichsratu posłów polskich sprawiło wielki popłoch w Wiedniu; chwiejące się od dawna ministerstwo Giskrów, Hasnerów itd. upadło ostatecznie pod tym ważnym ciosem; hr. Alfred Potocki, były minister rolnictwa, powołany został natychmiast przez cesarza do utworzenia nowéj rady ministrów: p. Beust, który dotąd stał pomiędzy centralistami i autonomistami, podobno się przechyla na stronę tych ostatnich, w czém idzie, według polityków galicyjskich, zgodnie z koroną i z rządem węgierskim. Nie dowodzi to jeszcze, żeby żądana przez Galicyan autonomia już prawnie przyznaną została. Patryotyzm hr. Alfreda Potockiego więcéj jest austryackim niż polskim, a polityka austryacka tak jest chytrą i podstępną, szczególnie kiedy porażki dozna, tyle razy nas głaskała i zdradzała na przemian, że nam potrzeba wielkiéj spokojności umysłu, wielkiéj wytrwałości na obranéj drodze, ażebyśmy w nowe sidła nie wpadli i pięknemi słowami nie zastąpili czynów czyli uznania naszych praw, którego nam przede wszystkiém potrzeba. Nieprzyjaciel nie jest jeszcze pobitym, ale dopiero porażonym; pod chorogwią centralizmu skupiło się wszystko co tylko biurokracya austryacka do współki z jezuitami wszelkiego kroju wyrodziła przez wieki na uciemiężeniu ludów. Centralizm to ostatnia twierdza książąt, hrabiów, baronów, całéj arystokracyi austryackiéj, wszystkich staats-i hofratów, wszystkich dorobkowiczów, przemysłowców i handlarzy, którzy na przywileju, na rządowych łaskach, na uciemiężeniu ludów porośli w pierze, zbogacili się i dziś trzymają się solidarnie polityki Metternichów, Schmerlingów i Giskrów, jako jedynego przylądku nadziei. Nie trzeba więc sobie taić, że centralizm tak spotęgowany nie da się łatwo zepchnąć z pola, że do tego potrzeba z naszéj strony połączenia sił, zgody i solidarności, że potrzeba zapomnieć kto i jak walczył dotąd z centralistami, ażeby w naszych narodowych szeregach nie upatrywać zwycięzców i zwyciężonych, kiedy wszyscy razem daléj mamy prowadzić wojnę ze wspólnym nieprzyjacielem.

Mówimy to pod wrażeniem niektórych nierozważnych objawów galicyjskich, a mianowicie pod smutném wrażeniem hałasów, krzyków i ulicznych burd, wywołanych przez szalonych wielbicieli zacnego Smolki na samą wieść, że delegaci galicyjscy opuścili reichsrat wiedeński. Dla tego że ob. Smolka był pierwszym i najgorliwszym promotorem tego ważnego kroku, nie należy się potępiać tych, którzy go uczynili, a w każdym razie, obelgi i uliczne burdy szkodę tylko przynoszą dobréj sprawie.

KRONIKA KRAJOWA.

Gdy delegacya galicyjska a za nią Słoweńcy wystąpili z reichsratu, cesarz austryacki nie przystał na zaproponowane mu przez ministerstwo centralistyczne rozwiązanie tych sejmów krajowych, które owe zrywające z reichsratem reprezentacye wydelegowały, a mianowicie na rozwiązanie sejmu galicyjskiego. W skutku téj odmowy, centralistyczne ministerstwo przedlitawskie zmuszoném się widziało podać się do dymisyi. Cesarz przyjął jego dymisyą i polecił rodakowi naszemu, hr. Alfredowi Potockiemu utworzyć nowe ministerstwo, któreby starało się zaspokoić żądania autonomiczne stających w opozycyi krajów koronnych. Lecz gdy centraliści postanowili trzymać się daléj swéj polityki, ich opór nasuwa utworzeniu się i utrwaleniu ministerstwa federalistycznego takie same trudności, jakie pierwéj ze strony opozycyi federalistycznéj sprzeciwiały się utrzymaniu ministerstwa centralistycznego i sprowadziły w końcu jego upadek. W ścierani i się tych żywiołów sprzecznych wiele zależało na tém, aby nowo utworzyć się mające ministerstwo federalistyczne zyskało sobie współdziałanie i poparcie niemieckich autonomistów. Al. Potocki nie omieszkał téż przywódzcę ich Rechbauera zaprosić do składu nowego ministerstwa; ale rokowania z nim miały się rozbić z jednéj strony o to, że Al. Potocki nie chciał przystać na zniesienie konkordatu i ztąd wynikające np. zaprowadzenie ślubów cywilnych, szkół bezwyznaniowych itd., a z drugiéj strony o to, że Rechbauer był przeciwnym ugodzie z Czechami. W takim stanie rzeczy Al. Potocki zdołał przy poparciu Taaffego utworzyć tylko ministerstwo przejściowe, niekompletne, które po zwołaniu nowego reichsratu ma być dopiero uzupełnioném i ustaloném. Tak zatém w chwili przesilenia, kiedy powinny być położone podwaliny do całkowitego, radykalnego przeobrażenia wewnętrznego urządzenia Przedlitawii, losami jéj kierują sternicy tymczasowi, przejściowi, nieskompletowani, bez wybinego programu i planu.

Z memoryału mniejszości ministeryalnéj, do któréj należał Potocki, widzimy wprawdzie, że ten nowy sternik nawy przedlitawskiéj jest przeciwnym systemowi centralizacyjnemu i chce pogodzenia się z opozycyą federalną przez nadanie krajom koronnym większych ustępstw autonomicznych, ale obok tego uważa tak żądania Galicyan

sformułowane w rezolucyi jak żądania Czechów sformułowane w deklaracyi za przesadzone, proponuje aby jedni i drudzy przystali na kompromis, jaki nowo wybrany reichsrat ustawodawczy by uchwalił, i razem z centralistami podziela przekształcenie dotychczasowego, z grup prowincyonalnych czyli narodowościowych złożonego reichsratu na jednolite ciało prawodawczo złożone z posłów bezpośrednio i niezależnie od sejmów krajowych wybranych.

Otóż na ten półprogram ani Galicyanie ani Czesi i inni Słowianie zgodzić się nie mogą. Długoletnie doświadczenie własnych zawodów a przykład powodzenia Węgier nauczyły ich, że reichsraty nie są miejscem do skutecznego upominania się i rychłego otrzymania praw automicznych. Daleko lepszym do tego środkiem okazały się komisye regnikolarne, które układ pomiędzy Przedlitawią a Węgrami i układ pomiędzy Węgrami a Krotami do skutku doprowadziły. W rezolucyi zawarte jest minimum żądań autonomicznych Galicyi, nie może być mowy o kompromisach, któreby z tego minimum wytraciły najgłówniejsze punkta. Jeżeli korona zechce szczerze zaspokoić żądania autonomiczne krajów koronnych, to w zakres sejmów prowincyonalnych przejdzie większa część dotychczasowego ustawodawstwa i prawodawstwa, tak że nie potrzeba będzie wcale żadnego reichsratu, a tém mniéj przekształconego na parlament, bo pozostałe sprawy dotyczące całéj monarchii, jak budżet państwa, wojsko, poczta, traktaty handlowe, będą mogły być załatwiane przez połączone delegacye od sejmów, tak jak to dotąd czyniła delegacya węgierska w połączeniu z przedlitawską.

Najlichszymi w kraju politykami są ci, co od Potockiego wyglądają sformułowania odpowiedniego dzisiejszemu położeniu programu i radzą wstrzymywać się od silniejszych objawów opinii publicznéj, aby mu w ułożeniu tegoż programu nie przeszkadzać. Przecież dzisiejsze ministerstwo przejściowe, będąc z natury swojéj słabe, nie może w żaden sposób zdobyć się na śmiałą i stanowczą politykę, a z drugiéj strony jest najskłonniejszym do przyjęcia kierunku, jaki mu opinia publiczna wskaże. Owszem dziś jest największa potrzeba wypowiedzenia myśli i życzeń opozycyjnych. Jeżeli ministerstwo Potockiego jest szczerém w dążnościach federalistycznych, to właśnie musi samo pragnąć jak najsilniejszych objawów tych dążności ze strony opozycyi, ażeby się na nich oprzeć i za pomocą nich zwalczyć trudności przez centralistów stawiane.

Dla tego ubolewamy nad pomieszaniem języków jakie w dziennikarstwie galicyjskiém panuje co do drogi, którąby obrać należało ażeby zdobyć samorząd w dzisiejszém przesileniu. Lwowski klub rezolucyonistów i krakowskie koło polityczne nie zaszły dotąd daléj nad pochwałę delegacyi za usunięcie się jéj z reichsratu. Tylko lwowskie towarzystwo demokratyczne potrafiło się już zoryentować w dzisiejszéj sytuacyi i przepisać sobie program dosyć zbliżony do tego jaki Galicya ostatecznie przyjąć musi, jeżeli ma stanąć u celu swych życzeń autonomicznych. Oto na ostatniém zgromadzeniu uchwaliło ono, "że po rozwiązaniu reichsratu i sejmów krajowych delegacya nowo wybranogo sejmu galicyjskiego mogłaby wtedy tylko wziąść udział w nadzwyczajném wspólném zgromadzeniu delegatów pojedyńczych sejmów, jeżeli w niém będą reprezentowane wszystkie w skład przedlitawskiéj połowy monarchii wchodzące indywidualności historyczne i jeżeli wyłączném zadaniem tego zgromadzenia będzie unormowanie wzajemnego ich stósunku na podstawie odnośnych uchwał pojedyńczych sejmów." Przytém towarzystwo zastrzega sobie w mającéj nastąpić zmianie systemu nienaruszalność tak praw Węgier jak obywatelskich swobód; uważa porozumienie opozycyi galicyjskiéj z narodową opozycyą innych krajów a szczególniéj z Czechami za nieodzowny warunek wspólnego zwycięztwa; i postanawia starać się o przeprowadzenie powyższych uchwał na zgromadzeniach ludowych i zgromadzeniach wyborców.

— Na podniesienie jeszcze zasługuje fakt, że włościańscy członkowie delegacyi galicyjskiéj trzymali solidarnie z ogółem delegacyi i razem z nim opuścili reichsrat. Polacy też w Wiedniu bawiący wyprawili owacyą na cześć włościan delegatów za ich postępowanie obywatelskie. Smutnym wyjątkiem był ruski ksiądz Guszalewicz. który oświadczenia wystąpienia nie podpisał i pozostał sam jeden ze Słowian aż do odroczenia reichsratu. Ale ks. Guszalewicz nie reprezentuje nikogo, pobobno nawet Świętojurcy wypierają się go. Pozostał w reichsracie aby brać pensyą.

— W komisyi narodowościowéj, zamianowanéj przez wydział krajowy galicyjski, rozbior wniosków Ławrowskicgo, które mają utorować drogę do załatwienia sporu z Rusinami, zahaczył się, jak to donieśliśmy, na drugiéj zasadzie o "nierozdzielności kraju," na którą Rusini nie chcieli się pisać. Aby z miejsca ruszyć, zaproponowano rozdzielić tę jednę zasadę na dwie: najpierw że naród ruski stanowi naród odrębny tak od polskiego jak i od moskiewskiego różny: a powtóre, że Rusini uznają nierozerwalność kraju pod tym warunkiem wszelako, jeżeli wzajemne z Polakami stósunki uregulowane i uchwalone zostaną. Lecz i tym trybem komisya nie zaszła daléj. Wprawdzie pierwszą połowę zasady bez trudności przyjęto 14 głosami przeciw 1; ale gdy przyszło do drugiéj połowy, Rusini nie chcieli przyjąć nawet warunkowego uznania nierozdzielnéj całości historyczno politycznéj. Kilkanaście dni stracono nad rozbiorem zasad, bez dojścia do jakiegokolwiek rezultatu. Dopiero bezowocność dyskusyj ogólnych naprowadziła profesorów i urzędników składających komisyą na myśl, że wdali się w nieswoją rzecz i że do nich należy tylko rozpatrzyć pojedyńcze wnioski Ławrowskiego ze strony praktycznéj, wykonalnéj. Stósownie do tego zoryentowania się członkowie komisyi podzielli się na dwa komitety, jeden szkolny, a drugi administracyjno-polityczny, z których każdy wybrał sobie referentów i tymże wnioski Ławrowskiego przekazał. Jak referenci swoje referaty wygotują, przedłożą je komitetom, a gdy komitety te referaty rozbiorą, przedłożą je znowu kiedyś pełnéj komisyi. Tak więc z jednéj ostateczności przerzucono się w drugą. Kancelaryjna manipulacya wniosków nie rozświeci rzeczy.

— W Prussach Zachodnich, Towarzystwo Moralnych Interesów zajmuje się zakładaniem towarzystw parafialnych, uważając je za najszerszą podstawę i najsilniejszy środek ku celom swego towarzysstwa. Parafialne stowarzyszenia mają łączyć w sobie postęp gospodarski, pomoc szkolną i oświatę społeczną. Tam gdzie istnieją towarzystwa gospodarskie, należy tylko rozszerzyć ich program a nie tworzyć nowego towarzystwa. Kasa oszczędności i kasa pożyczkowa może wchodzić w skład tych parafialnych towarzystw, jako też ochronka dzieci. Zarząd Towarzystwa Moralnych Interesów podejmuje się zakupywać książeczki, układać biblioteczki parafialne dla wsi i miasteczek i rozsyłać takowe na żądanie za zwrotem kosztów lub darmo. O taką biblioteczkę parafialną mogą się towarzystwa parafialne zgłaszać do członka zarządu Ignacego Łyskowskiego w Mileszewach pod Jabłonowem. Zarząd też wzywa wszystkich przyjaciół oświaty ludowéj, ażeby zasilali książkami pożytecznemi ten wspólny skład biblioteczek. Dobrze jest, że Towarzystwo Moralnych Interesów przycisk kładzie na to, ażeby towarzystwa parafialne samodzielnie się rozwijały, same się rządziły i o własnych utrzymywały się siłach; ale nie pochwalamy podziału członków na czynnych i honorowych, nie pochwalamy ażeby pod tym ostatnim tytułem dziedzice i księża oddzielali się od włościan, uwalniali się regularnych składek i obowiązków i odgrywali tylko rolę doradzców i opiekunów. Stowarzyszenia parafialne złożone z samych włościan pozostaną zawsze klasowemi, kastowemi, i nie wzniosą się nigdy na stanowisko ogólno narodowe. Szlachta nie zwalczy dotąd niedowierzania, nieufności, wstrętu, jakie do niéj czuje lud wiejski, dopóki stawać będzie względem niego ciągle w roli wyłącznéj, choćby najsumienniejszych doradzców i najżyczliwszych mu opiekunów. Ażeby na lud działać, zrobić go polskim, potrzeba temu ludowi okazać, że jego interes jest interesem wszystkich, potrzeba z nim wszędzie i zawsze stawać do wspólnéj pracy, podejmować zarówno z nim te same ciężary i te same obowiązki, być mu równym i prawdziwym bratem.

— W Kongresówce pobór do wojska ukończony został w miesiącu styczniu. Jakkolwiek ten pobór, ze względu na roboty polne, o trzy miesięce później się odbył jak po inne lata, jednakże rząd moskiewski nie stracił ani jednego żołnierza na tém opoźnieniu, bo dla wynagrodzenia upłynionych miesięcy policzył sobie należyty procent i w miejsce 10,000 przeszło, wziął tym razem 12,000 przeszło ludzi. Wykupywanie się od wojska bynajmniéj nie zmniejsza rocznego kontyngensu. Na miejsce wykupujących zwykle biorą następne numera. W 1868 roku zabrano swoją drogą naznaczoną liczbę 10,000 w rekruty, pomimo że wykupiło się około 4000 ludzi, którzy zapłacili rządowi 1,600,000 rubli.

— W Kaliskiém obywatelstwo polskie wyprawiło z własnéj woli ucztę pożegnalną gubernatorowi kniaziowi Szczerbatowowi, przeniesionemu na urząd do Petersburga. Potrzeba wiedzieć, że kniaź ten pierwszy wprowadził język moskiewski do biur, że pierwszy po usuwał pod władzą jego zostających urzędników Polaków i zastąpił ich moskiewskimi czynownikami, że najgorliwiéj pracował nad zmoskwiczeniem kraju, był mistrzem w wynajdywaniu sposobów obdzierania mieszkańców, a nadto obywatelstwem poniewierał i najbrutalniéj się z niém obchodził. Ta owacya więc przynosi wielką zakałę obywatelstwu kaliskiemu. Nic nie ma nikczemniejszege jak wdzięczność niewolników dla ich ciemięzców.

— Jezuici, zawzięci na kroackiego biskupa Strossmayera, że na soborze rzymskim walczy dzielnie i zaszczytnie przeciw wprowadzeniu absolutyzmu duchownego do kościoła katolickiego i nastaje na pogodzenie katolicyzmu z postępem oświaty i cywilzacyi, starają się go zniesławić, rzucając nań podejrzenie że jest agentem Moskwy i używa byłego administratora dyecezyi lubelskiéj, ks. Sosnowskiego za narzędzie do pogodzenia stolicy apostolskiéj z dworem petersburgskim. Zmartwychwstańcy i ich korespondenci zajęli się skwapliwie rozgłoszeniem tego oszczerstwa w naszym kraju. Otoż ksiądz K. Sosnowski i biskup Strossmayer w listach wystósowanych do dzienników krajowych odpierają te potwarze i kłamstwa jezuickie : pierwszy zaręczając, że nigdy nie był przez drugiego namawiany do działania na szkodę Polski ; drugi wyznawając uroczyście, że był zawsze przyjacielem Polaków i nim pozostanie, że nigdy nic nie uczynił ani wyrzekł coby ich słusznym żądaniom przeciwném być mogło. Wprawdzie zażądano od Strossmayera, aby pośredniczył w przywróceniu dobrych stósunków pomiędzy Rzymem a Petersburgiem, ale gdy powiedział, że nie mógłby tego zlecenia inaczéj dopełnić jak z pożytkiem kościoła katolickiego i braci polskich doń należących, pośrednictwo jego nie przyszło do skutku.

EMIGRACYA.

— Dnia 7 b.m. za staraniem emigracyi polskiéj w Paryżu obbyło się w głównéj bóżnicy, przy ulicy Notre Dame de Nazareth, żałobne nabożeństwo na cześć zmarłego w Warszawie przed dwoma miesiącami rabina Mojżesza Baera Mejzelsa, znanego i powszechnie cenionego z nauki i patryotyzmu męża Polski. Na kilka dni przed nabożeństwem, dzienniki francuzkie ogłosiły następujący list p. Cremieux, prezydenta de l'Alliance Israélite universelle, w odpowiedzi na pismo wystósowane do niego przez Polaków.

Panowie! —Emigracya Polska chce złożyć hołd pamięci wielkiemu rabinowi warszawskiemu ; chce ażeby Wielki Rabin otrzymał od niéj tę samą cześć żałobną jaką złożyła we Francyi 1861 r. arcybiskupowi warszawskiemu. W przeciągu lat 9 pogrzeb arcybiskupa katolickiego i pogrzeb wielkiego rabina żydowskiego zgromadziły w waszéj stolicy całą ludność obydwóch wyznań; emigracya polska pragnie ażeby w Paryżu, 1870 roku, pobożna uroczystość zgromadziła was wszystkich w świątyni Izraeliów, jak was zgromadziła wszystkich podobna uroczystość w 1861 r. w Paryżu.

Przyjmujemy wasze życzenia z ogromném współczuciem, jako nieoszacowane świadectwo tego boskiego braterstwa wyznań, które łączy między wami wszystkich synów jednéj ojczyzny.

Nabożeństwo, pod prezydencyą wielkiego rabina głównego konsystorza, odbędzie się w Poniedziałek, dnia 4 kwietnia, o wpół do siódméj wieczorem (odłożoném zostało na 7 kwietnia—P. R.) w synagodze konsystorynalnéj, przy ulicy Notre Dame de Nazareth.

Nasze modlitwy i wasze złączą się w jedno błaganie o błogosławieństwo niebios dla dwóch wielkich obywateli, którzy zostawili w sercach waszych wielbioną pamięć, a którzy na łonie Boga otrzmują od wszystkich ludzi nagrodę ich cnót i ich patryotyzmu. Przyjmijcie, Panowie, itd.

Jak każda wzniosła i szlachetna myśl tak i wezwanie do złożenia publicznego hołdu zasługom ś. p. wielkiego rabina Mejzelsa, z zapałem zostało przyjęte przez emigracyą. Licznie się też zgromadziła w synagodze żydowskiéj d. 7 kwietnia. Starzy i młodzi, pomiędzy którymi kilku uczniów szkoły polskiéj mojżeszowego wyznania i wiele niewiast polskich, z rozrzewnieniem uczestniczyli poważnéj i pięknéj uroczystości i z zachwyceniem chwytali każde słowo wypowiedziane przez naczelnego rabina izraelitów francuzkich. Świetna bo też była jego mowa. Takiéj nie zwykliśmy słyszeć w kościołach katolickich. Miłość braterska bez różnicy wyznań, wzajemny szacunek między ludami bez względu jakim językiem i jaką modłą kto Boga chwali, służyły za temat kaznodziei, a kiedy przstąpił do ocenienia pięknego żywota Mejzelsa, to do najszczytniejszych zasług policzył tę że był dobrym synem Polski, że lud miłował, że stał między gorącymi szerzycielami postępu i oświaty i że wraz z arcybiskupem katolickim bronił wspólnéj ojczyzny, téj ojczyzny, która wśród powszechnego i dzikiego prześladowania rozproszone dzieci Izraela przyjęła do swego łona przed ośmiu wiekami. Uroczystość 7 kwietnia stanie się piękną kartą w dziejach emigracyi polskiéj.

— Jeden z byłych uczniów szkoły wojskowéj w St. Cyr zwraca naszą uwagę na dług zaciągniony przez niego i jego kolegów względem administracyi téjże szkoły. Wynosi on podobno około 7000 fr. a cięży nie tylko na uczniach ale i na komitetach i komisyach, które młodzież do nauk wojskowych zachęcały i fundusze na ten cel zbierały. Jest to zresztą dług narodowy, spłacenie jego obowiązuje nas moralnie wszystkich, a to tém bardziéj że wierzycielem nie jest żaden lichwiarz ani przemysłowiec, ale rząd francuzki, który mianowicie w kwestyi kształcenia młodzieży dał nam wiele dowodów prawdziwéj życzliwości. Komitet Pomocy Naukowéj założony na części funduszów zbieranych przez księdza Mikoszewskiego dla emigracyi polskiéj w ogólności a dla kształcącéj się młodzieży w szczególności, ma nawet wyraźny honorowy niejako obowiązek zajęcia się gorliwie tą kwestyą. Jemu ją téż głównie przypominamy.

— Po długiém i uporczywém milczeniu, ob. Alexander Guttry odpowiada nareszcie na zarzuty czynione mu przez jenerała Mierosławskiego, już nie artykułem dziennikarskim, nie broszurą nawet, ale książką, czyli największym kalibrem artyleryi jakiego się zwykle używa przy zdobywaniu twierdz. Czy zrobił jednak jaki wyłom w okopach nieprzyjaciela, to wielkie pytanie. Nam się zdaje, że proces Organizacyi jeneralnéj nie wiele zyskał na książce ob. Guttrego, a temu przybyło tylko słuszne zadziwienie *Dziennika Poznańskiego*, że krytykuje nawet rzeczy, które się odnoszą do najściślejszych, do najserdeczniejszych stósunków jego z jenerałem Mierosławskim, co daje nie bardzo pochlebne wyobrażenie o zmyśle ob. Guttrego w sądzeniu sporów ludzkich, a zatém i o jego szarży na dawnego swego naczelnika. Cokolwiek bądź w liście wystósowanym do ob. Guttrego pod datą 29 marca, ob. Petion stanowczo protestuje, aby nie on ale jenerał Mierosławski był autorem pamiętnika o wyprawie Krzywosądzkiéj, a nadto zarzuca ob. Guttremu stronność i niedokładność w opowiadaniu, gdyż mając źródła, któreby go objaśnić mogły, nie udał się do nich, ale raczéj tam gdzie mógł zadowolnić nienawiść swoją do jenerała Mierosławskiego.

ZMARLI NA EMIGRACYI.

Dnia 10 marca b. r. umarł w La Rochelle Juliusz Jankiewicz, lat 44 mający, z okolic Rosieni na Żmudzi ; kapitan inżynieryi rossyjskiéj, przebył 18 lat na Kaukazie : powstaniec w 1863 roku. W La Rochelle był urzędnikiem kolei żelaznéj des Charentes. Pochowany przy liczném zebraniu się rodaków i przyjaciół. Uprzejmy i zacny sposób zachowania się Jankiewicza pozostawił żal po jego stracie. Grób zakupiony i kamień nad nim na lat 10. Pozwoli to może kiedy jego rodzinie ślad po nim znaleźć. Umarł na piersiową chorobę od dawna go nurtującą jak wielu powstańców z 1863 r.

Składka na podtrzymanie *Głosu Wolnego* :

Pałysiewicz Franciszek, z Angers .. .. .. fr. 3.

OD REDAKCYI.

Z niniejszym numerem kończy się XXVII oddział kwartalny czyli dziesięcionumerowy Głosu Wolnego. Prenumeratorowie, życzący sobie otrzymywać pismo nasze bez przerwy, proszeni są o wczesne nadesłanie przedpłaty na następny oddział, w ilości fr. 4 cent. 50 we Francyi, Włoszech, Szwajcaryi ; szyl. 3. d. 6 w Anglii i Ameryce ; tal 1 i sr. gr. 15 w Niemczech.

W Drukarni Polskiéj, 18. Clarmont Place, Judd Street, London, W. C.